

Makabryczny sekret, który przeleżał w ziemi prawie 200 lat...

TESS GERRITSEN

Ogród kości



ALBATROS

Rozdział pierwszy

Współcześnie

A więc tak kończy się małżeństwo, pomyślała Julia Hamill, wbijając łopatę w ziemię. Nie słodkimi szeptami na do widzenia, czułymi uściskami artretycznych dłoni po czterdziestu wspólnych latach ani płaczem dzieci i wnuków, zgromadzonych wokół szpitalnego łóżka. Uniosła łopatę, odrzucając na bok kupkę ziemi. Kamienie zachrząściły na usypanym przez nią kopcu. Sama glina i skały. Ta ziemia nadaje się tylko do uprawiania krzaków jeżyn. Jest nieurodzajna jak jej małżeństwo, z którego nie wyrosło nic trwałego, nic wartościowego.

Wbijając kopniakiem łopatę w ziemię, usłyszała zgrzyt metalu o kamień i poczuła ciarki na plecach. Próbowwała kopać z różnych stron, ale kamień ani drgnął. Wpatrywała się zniechęcona i spocona w dziurę w ziemi. Przez cały ranek kopała jak opętana i miała już pod skórzanymi rękawicami pęcherze. Z poruszonej gleby wzbila się w górę chmara komarów, które brzęczały wokół jej twarzy i wplątywały się we włosy.

Nie było innego wyjścia. Jeśli chce założyć w tym miejscu ogród, jeśli chce zmienić wygląd zachwaszczonego podwórka, musiała usunąć kamień, który jej przeszkadza.

Wydało jej się nagle, że nie podoła temu zadaniu. Rzuciła

łopatę i przysiadła ciężko na kopcu kamienistej ziemi. Dlaczego sądziła, że potrafi odnowić ten ogród, ocalić ten dom? Spojrzała na gąszcz chwastów, zapadnięty ganek i spróchniałe deski. Powinna nazwać ten dom „Szaleństwem Julii”. Kupiła go, gdy nie była w stanie rozsądnie myśleć, gdy jej życie się rozpadało. Co szkodzi dorzucić trochę szczątków do rozbitego wraku? To miała być nagroda pocieszenia za przeżycie rozwodu. W wieku trzydziestu ośmiu lat Julia kupowała w końcu dom na swoje nazwisko, dom z przeszłością, z duszą. Gdy oglądała go po raz pierwszy z pośredniczką z biura sprzedaży nieruchomości, gdy zobaczyła ręcznie ciosane krokwie i dostrzegła kawałek starej tapety, wystający spod wielu później położonych warstw, wiedziała już, że ten dom jest niezwykły. Przywoływał ją, prosząc o pomoc.

— Jest idealnie położony — zachwalała pośredniczka.

— Działka ma prawie akr ziemi, co tak blisko Bostonu należy dziś do rzadkości.

— Więc dlaczego nikt go dotąd nie kupił? — spytała Julia.

— Widzi pani, w jakim jest złym stanie. Kiedy pojawił się w ofercie, był wypełniony po sufit stertami pudeł z książkami i starymi papierami. Spadkobiercy przez miesiąc je wywozili. Oczywiście wymaga gruntownego remontu, łącznie z fundamentami.

— Cóż, podoba mi się to, że ma ciekawą przeszłość. Nie zniechęciłaby mnie do kupienia go.

Pośredniczka zawahała się.

— Powinnam pani wspomnieć o jeszcze jednej sprawie. Żeby wszystko było jasne.

— O jakiej sprawie?

— Poprzednią właścicielką była dziewięćdziesięcioletnia staruszka, która... tutaj umarła. To trochę zraża potencjalnych nabywców.

— Miała dziewięćdziesiątkę? A więc umarła naturalną

śmiercią?

— Prawdopodobnie.

Julia zmarszczyła brwi.

— Nie wiadomo na pewno?

— To zdarzyło się latem. Dopiero po trzech tygodniach jeden z jej krewnych odkrył... — Pośredniczka urwała w pół zdania. Nagle jednak się rozpromieniła. — Ale proszę spojrzeć, jakie to niezwykle miejsce. Może pani zburzyć ten dom, pozbyć się go i wybudować nowy!

Podobnie jak świat pozbywa się takich jak ja starych żon, pomyślała Julia. Ten wspaniały, zrujnowany dom zasługuje wraz ze mną na lepszy los.

Tego samego popołudnia Julia podpisała umowę kupna.

Teraz, siedząc na kopcu ziemi i oganiając się od komarów, myślała: W co ja się wpakowałam? Gdyby Richard zobaczył tę ruinę, utwierdziłby się tylko w przekonaniu, że miał o niej właściwe zdanie. Naiwna Julia, usidlona przez biuro sprzedaży nieruchomości. Dumna właścicielka hałdy śmieci.

Przetarła dłonią oczy, rozmazując pot na policzku. Potem znów spojrzała na dziurę. Jak może się spodziewać, że uporządkuje swoje życie, skoro nie potrafi zebrać sił, by usunąć jeden głupi kamień?

Podniosła rydel i pochyliwszy się nad dziurą, zaczęła odgarniać ziemię. Odsłoniła część kamienia, jak czubek góry lodowej, której wielkość trudno odgadnąć. Mogła być wystarczająco duża, by zatopić „Titanica”. Kopła dalej, coraz głębiej, nie zważając na komary i słońce, przypiekające jej nieosłoniętą głowę. Ten kamień stał się nagle symbolem wszystkich przeszkód, wszystkich wyzwania, przed którymi się cofała.

Nie dam ci się pokonać.

Wygarniała rydlem ziemię spod kamienia, próbując uzyskać dość wolnej przestrzeni, by wsadzić tam łopatę. Kosmyki

włosów opadały jej na twarz i kleiły się do spoconej skóry, gdy sięgała coraz głębiej, wygrzebując tunel. Zanim Richard zobaczy to miejsce, zamieni je w raj. Dopiero za dwa miesiące będzie musiała stanąć przed kolejną grupą trzecioklasistów. Miała dwa miesiące, żeby powyrywać chwasty, użyźnić ziemię, posadzić róże. Richard powiedział jej, że gdyby kiedykolwiek zasadziła róże na dziedzińcu ich domu w Brookline, zginęłyby. Trzeba wiedzieć, co się robi, stwierdził. Była to tylko zdawkowa uwaga, ale ją zabolala. Zdawała sobie sprawę, co miał na myśli.

Trzeba wiedzieć, co się robi. A ty nie wiesz.

Położyła się na brzuchu i nadal kopała. Rydel natrafił na coś twardego. Boże, byle nie kolejny kamień. Odgarnawszy włosy, próbowała zobaczyć, w co uderzyła narzędziem. Metalowa końcówka rydla uszkodziła powierzchnię jakiegoś przedmiotu. Od miejsca uderzenia rozchodziły się promieniście pęknięcia. Po usunięciu ziemi i kamieni Julia odsłoniła nienaturalnie gładką kopułę. Leżąc na brzuchu, czuła, jak od gwałtownego bicia serca drży pod nią ziemia, i nagle zaczęło brakować jej tchu. Kopała jednak dalej, teraz już rękami, drapiąc palcami w rękawiczkach oporną glinę. Ukazały się zaokrąglone ścianki kopuły, jakby zszyte nierównym ścięciem. Grzebiąc coraz głębiej, poczuła przyspieszony puls, gdy natrafiła na niewielki otwór zasklepiiony ziemią. Zdjęła rękawiczkę i szturchnęła palcem skorupę zaschniętego błota. Warstwa ziemi pękła nagle i rozsypała się.

Julia cofnęła się gwałtownie i uklękła, wpatrzona w to, co odkryła. Komary brzęczały coraz natarczywiej, ale już ich nie odganiała i była zbyt otepiała, by czuć ich ukąszenia. Wiatr muskał trawę, przesycając powietrze słodkim zapachem trybuli. Julia spojrzała na swą zachwaszczoną posiadłość, miejsce, które miała nadzieję zamienić w raj. Wyobrażała sobie olśniewający ogród pełen róż i piwonii, altanę obrosniętą fioletowym klematisem. Ale patrząc teraz na dziedziniec przed

domem, nie widziała już ogrodu.

Widziała cmentarz.

□ □ □

— Mogłaś zapytać mnie o radę, zanim kupiłaś tę rudę — stwierdziła Vicky, siostra Julii, siedząc przy stole w kuchni.

Julia stała przy oknie, wpatrując się w kopce ziemi, które wyrastały jak stożki małych wulkanów w ogrodzie na tyłach domu. Przez ostatnie trzy dni ekipa z Biura Medycyny Sądowej obozowała praktycznie na terenie jej posesji. Tak już przywykła do ich ciągłych wizyt w toalecie, że będzie jej tego brakowało, gdy skończą wykopaliska i znów zostawią ją samą w tym domu, z jego ciosanymi ręcznie krokwiami i historią. I duchami.

Doktor Isles, lekarz sądowy, właśnie przyjechała i szła w kierunku wykopalisk. Julia pomyślała, że to niepokojący typ kobiety, nieokazującej ani przyjaźni, ani wrogości. Miała bladą cerę i kruczoczarne włosy. Robi wrażenie spokojnej i opanowanej, myślała Julia, obserwując ją przez okno.

— To do ciebie niepodobne, żeby tak pochopnie decydować — mówiła Vicky. — Akceptujesz ofertę od razu pierwszego dnia? Sądziłaś, że ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa? — Wskazała wykrzywione drzwi do piwnicy. — Nawet się nie zamykają. Sprawdziłaś fundamenty? Ten dom musi mieć ze sto lat.

— Sto trzydzieści — mruknęła Julia, nadal patrząc na dziedziniec, gdzie doktor Isles stała na krawędzi wykopu.

— Och, kochanie — ciągnęła Vicky łagodniejszym tonem. — Wiem, że przeżyłaś ciężki rok. Wiem, przez co przechodzisz. Szkoda tylko, że nie zadzwoniłaś do mnie przed podjęciem tak radykalnej decyzji.

— To całkiem niezła posiadłość — upierała się Julia. — Ma akr ziemi. I leży blisko miasta.

— A na dziedzińcu jest szkielet. To niewątpliwie podniesie jej wartość rynkową.

Julia pomasaowała sobie kark, czując napięcie mięśni. Vicky miała rację. Jak zawsze. Włożyłam w ten dom wszystkie oszczędności, pomyślała, a teraz jestem dumną właścicielką nawiedzanej posesji. Zobaczyła przez okno, że na działce zjawiała się następna osoba. Była to starsza kobieta z krótkimi siwymi włosami, ubrana w dżinsy i ciężkie robocze buty — strój, jakiego u staruszki nikt się raczej nie spodziewa. Jeszcze jedna dziwna postać, kręcąca się koło jej domu. Kim są ci ludzie, których przyciągają zmarli? Dlaczego wybrali zawód, w którym stykają się codziennie z koszmarami przyprawiającymi innych o gęśią skórę?

— Rozmawiałaś z Richardem, zanim kupiłaś ten dom?

Julia znieruchomiała.

— Nie, nie rozmawiałam z nim.

— Odzywał się do ciebie ostatnio? — spytała Vicky. Powiedziała to tak zmienionym tonem — cichym, niemal niepewnym — że Julia spojrzała w końcu na siostrę.

— Dlaczego pytasz? — odparła.

— Byłaś jego żoną. Nie dzwonisz do niego czasem, żeby zapytać, czy przekazuje ci pocztę albo coś takiego?

Julia opadła na krzesło.

— Nie dzwonię do niego. Ani on do mnie.

Przez chwilę Vicky nic nie mówiła. Siedziała w milczeniu, gdy Julia opuściła wzrok.

— Przepraszam — odezwała się w końcu. — Przykro mi, że wciąż cierpisz.

Julia zaśmiała się.

— No cóż, mnie też jest przykro.

— Minęło już pół roku. Myślałam, że zdążyłaś o nim zapomnieć. Jesteś bystra, miła, powinnaś znów być w obiegu.

To była cała Vicky. Przebojowa dziewczyna, która pięć dni po operacji wyrostka wpadła na salę sądową, by poprowadzić do zwycięstwa swój zespół adwokatów. Nie pozwoliłaby, by

taki drobiazg jak rozwód zepsuł jej tydzień.

— Szczerze mówiąc — westchnęła Vicky — nie jechałam taki kawał drogi tylko po to, żeby zobaczyć twój nowy dom. Jesteś moją młodszą siostrą i jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. O czym masz prawo wiedzieć. Nie jestem tylko pewna, jak... — Przerwała, spoglądając na kuchenne drzwi, do których ktoś właśnie zapukał.

Otworzywszy je, Julia zobaczyła doktor Isles, która mimo upału wykazywała chłodne opanowanie.

— Chciałam panią zawiadomić, że moja ekipa dziś wyjeżdża — powiedziała.

Spojrawszy na rozkopany dziedziniec, Julia zobaczyła, że ludzie doktor Isles pakują sprzęt.

— Skończyliście? — spytała.

— Odkryliśmy wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że to nie jest przypadek dla lekarza sądowego. Przekazałam sprawę doktor Petrie z Harvardu. — Isles wskazała kobietę, która niedawno przyjechała, starszkę w dżinsach.

Vicky podeszła do drzwi.

— Kim jest doktor Petrie?

— Sądowym antropologiem. Dokończy prace wykopaliskowe w czysto naukowych celach. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pani Hamill.

— A więc te kości są stare?

— Z pewnością nie jest to świeży pochówek. Może zechcą panie spojrzeć?

Vicky i Julia ruszyły za doktor Isles po zboczu. Po trzech dniach kopania dziura wyglądała jak głęboki szyb. Na brezencie leżały ułożone szczątki.

Chociaż doktor Petrie musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt lat, podniosła się sprawnie i podeszła się z nimi przywitać.

— Pani jest właścicielką domu? — spytała Julię.

— Właśnie go kupiłam. Przeprowadziłam się w zeszłym

tygodniu.

— Ma pani szczęście — odparła Petrie i wyglądało na to, że naprawdę tak myśli.

— Przesiewając ziemię, znaleźliśmy parę rzeczy — oznajmiła doktor Isles. — Kilka starych guzików i ozdobną klamrę, najwyraźniej bardzo starą. — Sięgnęła do pudła z dowodami, stojącego obok kości. — A dzisiaj odkryliśmy to. — Wyjęła niewielką zapinaną na zamek foliową torebkę. Julia zobaczyła przez plastik lśniące wielobarwne kamienie jubilerskie.

— To pierścionek od wielbiciela — wyjaśniła doktor Petrie. — Bizuteria akronimiczna była we wczesnej epoce wiktoriańskiej bardzo modna. Pierwsze litery nazw kamieni tworzyły jakieś słowo. Na przykład szmaragd, agat i rubin stanowiły skrót imienia Sara. Taki pierścionek dawało się jako dowód uczucia.

— Czy to kamienie szlachetne?

— Och, nie. To prawdopodobnie tylko kolorowe szkiełka. Pierścionek nie jest grawerowany. Pochodzi z masowej produkcji.

— Czy ten pochówek gdzieś odnotowano?

— Wątpię. Był raczej nietypowy. Nie ma nagrobka ani resztek trumny. Tę kobietę owinięto po prostu w kawałek skóry i pogrzebano. Dość bezceremonialnie, jak na osobę, którą ktoś kochał.

— Może była biedna?

— Ale dlaczego wybrano akurat to miejsce? Nigdy nie było tu cmentarza. Tak przynajmniej wynika z map historycznych. Pani dom ma około stu trzydziestu lat, zgadza się?

— Został zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku.

— Pierścionki z akronimami wyszły z mody już w latach czterdziestych.

— Co tu było przed rokiem tysiąc osiemset czterdziestym?
— spytała Julia.

— Wiejska posiadłość, należąca do znanej bostońskiej rodziny. Były to w większości pastwiska, ziemie uprawne.

Julia spojrzała na zbocze, gdzie między kwiatami trybuli i wyki latały motyle. Próbowала sobie wyobrazić, jak to miejsce musiało kiedyś wyglądać. Otwarte pole, opadające w kierunku ocienionego drzewami strumienia, ze skubiącymi trawę owcami. Miejsce, gdzie pojawiały się tylko zwierzęta. Gdzie grób zostałby szybko zapomniany.

Vicky spoglądała na kości z obrzydzeniem.

— Czy to szczątki... jednej osoby?

— Kompletny szkielet — odparła Petrie. — Pochowano ją na tyle głęboko, że nie padła łupem padlinożerców. Na tym zboczku ziemia jest dobrze osuszona. Poza tym, sądząc z zachowanych resztek, ta kobieta była owinięta w jakąś zwierzęcą skórę, a stosowana jako garbnik tanina ma właściwości konserwujące.

— Kobieta?

— Tak. — Petrie podniosła wzrok, mrużąc przed słońcem bystre niebieskie oczy. — To szczątki kobiety. Zważywszy na uzębienie i stan jej kręgosłupa, była dość młoda, z pewnością nie przekroczyła trzydziestu pięciu lat. Szkielet jest w sumie w zaskakująco dobrym stanie. — Petrie spojrzała na Julię. — Jeśli nie liczyć pęknięcia czaszki, którą uszkodziła pani rydlem.

Julia się zaczerwieniła.

— Myślałam, że to kamień.

— Nietrudno jest rozróżnić stare i nowe pęknięcia. Proszę spojrzeć. — Petrie znów przykucnęła i podniosła czaszkę. — To, które pani spowodowała, jest tutaj i nie ma w tym miejscu żadnych płam. Ale widzi pani pęknięcie na kości ciemieniowej? I jeszcze jedno tu, na kości licowej, pod

policzkiem. Ich powierzchnie mają brązowe plamy z powodu długiego kontaktu z ziemią. To oznacza, że powstały przed śmiercią tej kobiety, a nie podczas wykopalisk.

— Przed śmiercią? — Julia spojrzała na nią. — Chce pani powiedzieć...

— Jej zgon spowodowały niemal na pewno ciosy w głowę. Moim zdaniem została zamordowana.

□ □ □

Julia nie mogła zasnąć, nasłuchując skrzypienia starych podłóg i szelestu myszy między ścianami. Ten grób był jeszcze starszy niż dom. Gdy zbijano krokwie i kładziono sosnowe podłogi, zaledwie kilkanaście kroków dalej rozkładało się już w ziemi ciało nieznaney kobiety. Czy ktoś zdawał sobie sprawę, że tam jest, kiedy stawiano dom? Czy był w tym miejscu jakiś nagrobek?

A może nikt o niej nie wiedział? Nikt jej nie pamiętał?

Julia odrzuciła kołdrę i leżała spocona na materacu. Mimo obu otwartych okien w sypialni brakowało powietrza. Nawet najlżejszy powiew wiatru nie łagodził upału. W ciemności migotał świetlik, krążąc rozpaczliwie po pokoju w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Usiadła na łóżku i zapaliła lampę. Magiczne iskierki nad jej głową zmieniły się w zwykłego brązowego owada, latającego pod sufitem. Zastanawiała się, jak go złapać, by go nie zabić. Zastanawiała się, czy życie jednego samotnego świetlika warte jest jej wysiłku.

Zadzwonił telefon. O wpół do dwunastej mogła dzwonić tylko jedna osoba.

— Mam nadzieję, że cię nie obudziłam — powiedziała Vicky. — Wróciłam właśnie do domu po ciągnącej się w nieskończoność kolacji.

— I tak nie mogę spać przez ten upał.

— Julio, chciałam ci coś powiedzieć, kiedy u ciebie byłam. Ale nie mogłam przy tych wszystkich ludziach.

— Nie dawaj mi już rad na temat domu, dobrze?

— Nie chodzi o dom, tylko o Richarda. Przykro mi, że akurat ode mnie musisz to usłyszeć, ale na twoim miejscu wolałabym wiedzieć. Nie powinnaś dowiadywać się tego pocztą pantoflową.

— Czego?

— Richard się żeni.

Julia tak mocno słuchawkę zacisnęła w dłoni, że zdrętwiały jej palce. W ciszy, która zaległa, słyszała pulsowanie krwi w swoich skroniach.

— A więc nie wiedziałas.

— Nie — wyszeptała Julia.

— Ależ z niego gnojek — mruknęła Vicky z goryczą, która wyrażała uczucia ich obu. — Słyszałam, że planuje ślub już od miesiąca. Z dziewczyną o imieniu Tiffani, pisany przez „i”. Cóż za egzaltacja! Nie mam szacunku dla faceta, który żeni się z Tiffani.

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać tak szybko.

— Och, kochanie, to oczywiste, prawda? Musiał już się z nią spotykać, kiedy jeszcze byliście małżeństwem. Czy nie zaczął nagle przychodzić późno do domu? Poza tym często wyjeżdżał służbowo. Zastanawiało mnie to. Ale nie miałam serca ci mówić.

Julia przełknęła ślinę.

— Nie chcę o tym teraz rozmawiać.

— Powinnam była się domyślić. Mężczyzna nie domaga się rozwodu tak nieoczekiwanie.

— Dobranoc, Vicky.

— Hej, dobrze się czujesz?

— Po prostu nie mam ochoty na rozmowę. — Julia odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższy czas siedziała bez ruchu. Światlik nadal krążył nad jej głową, rozpaczliwie szukając drogi ucieczki ze swego więzienia. W końcu straciłby siły i zginąłby w tym pokoju, pozbawiony jedzenia i wody.

Stanęła na materacu. Gdy światlik przelatywał bliżej, chwyciła go. Trzymając owada w zamkniętych dłoniach, poszła bosą do kuchni i otworzyła drzwi na tyłach domu. Stanąwszy na ganku, wypuściła światlika. Odleciał w mrok, trzepocząc skrzydełkami. Już nie migotał, skoncentrowany tylko na ucieczce.

Czy wiedział, że ocaliła mu życie? Na tyle było ją stać.

Pozostała na ganku, wdychając nocne powietrze i myśląc z niechęcią o powrocie do dusznej małej sypialni.

Richard się żenił.

Oddech uwiązł jej w gardle i nagle zaczęła szlochać. Chwyciła za poręcz i poczuła, jak drzazgi wbijają jej się w palce.

I ja dowiaduję się ostatnia.

Wpatrując się w ciemność, pomyślała o kościach zakopanych w ziemi zaledwie kilkanaście metrów dalej. O kobiecie, której imienia nikt już nie pamięta. O zimnej glebie, przygniatanej całunem śniegu, o zmianach pór roku i przemijaniu kolejnych dekad, o rozkładającym się ciele zjadanym przez robaki. Jestem tak samo jak ty zapomnianą kobietą, pomyślała.

I nawet nie wiem, kim byłaś.

Rozdział drugi

Listopad 1830 roku

Śmierć przybywała ze słodkim dźwiękiem dzwoneczków.

Rose Connolly przejmował on lękiem, bo słyszała go już zbyt wiele razy, siedząc przy szpitalnym łóżku siostry, ocierając jej czoło, trzymając ją za rękę i podsuwając do ust wodę. Codziennie te przekłute dzwonki, którymi potrząsał ministrant, zwiastowały pojawienie się na oddziale księdza udzielającego komunii i sakramentu ostatniego namaszczenia. Choć Rose miała dopiero siedemnaście lat, przez ostatnie pięć dni widziała cały ocean ludzkich cierpień. W niedzielę umarła Nora, trzy dni po narodzinach jej wątłego dziecka. W poniedziałek leżąca w głębi oddziału dziewczyna o kasztanowych włosach po porodzie skonała tak szybko, że nie było szansy zapytać jej nawet, jak się nazywa, zwłaszcza gdy rodzina rozpaczała, niemowlę darło się jak opętane, a przedsiębiorca pogrzebowy zbijał na dziedzińcu trumnę. We wtorek, po czterech dniach gorączki, spowodowanej wydaniem na świat syna, rozstała się w końcu z życiem Rebecca, ale przedtem Rose musiała znosić odrażający smród wydzielin, sączących się z jej krocza i zasychających na pościeli. Cały oddział cuchnął potem i zapachem ropiejących ran. Późną nocą, gdy na korytarzach odbijały się echem jęki konających, Rose budziła się nagle

z ciężkiego snu i stwierdzała, że rzeczywistość jest bardziej przerażająca niż jej koszmary. Dopiero gdy wychodziła na dziedziniec i oddychała głęboko rześkim powietrzem, mogła uciec od szpitalnego zaduchu.

Ale musiała zawsze wracać do tych okropności. Do siostry.

— Znowu dzwonki — wyszeptała Aurnia, mrugając zapadniętymi oczami. — Która biedaczka tym razem?

Rose spojrzała w głąb sali, gdzie wokół jednego z łóżek zaciągnięto pospiesznie zasłonę. Zauważyła przed chwilą, jak siostra Mary Robinson ustawia na stoliku świece i krucyfiks. Nie widziała księdza, ale słyszała, jak mruczy za zasłoną, i czuła zapach płonącego wosku.

— Niech przez swą wielką łaskę Bóg wybaczy ci wszelkie grzechy, jakie popełniłaś...

— Która to? — spytała znowu Aurnia. Zdenerwowana, próbowała się podnieść, aby zobaczyć rząd łóżek.

— Obawiam się, że Bernadette — odparła Rose.

— Och, nie!

Rose uściśnęła dłoń siostry.

— Może przeżyje. Trzeba mieć nadzieję.

— A dziecko? Co z dzieckiem?

— Chłopiec jest zdrowy. Nie słyszałaś, jak krzyczał rano w kołysce?

Aurnia opadła z westchnieniem na poduszkę. Powietrze, które wydychała, wydzielalo odór śmierci, jakby jej ciało gniło już od środka, a narządy ulegały rozkładowi.

— Choć w tym Bóg jej pobłogosławił — stwierdziła.

Cóż to za błogosławieństwo? Że chłopiec zostanie sierotą? Że jego matka od trzech dni jęczy z bólu, mając rozdęty brzuch z powodu gorączki połogowej? W ciągu ostatniego tygodnia Rose widziała o wiele za dużo takich „błogosławieństw”. Jeśli to był dowód dobroci Boga, nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Nie wypowiedziała jednak w obecności siostry

takiego bluźnierstwa. Właśnie wiara pozwoliła Aurni przetrwać ostatnie miesiące, zniewagi ze strony męża i te noce, gdy Rose słyszała jej cichy płacz zza prześcieradła zawieszonego między ich łózkami. Co biedaczce przyszło z wiary? Gdzie był Bóg przez te wszystkie dni, gdy Aurnia próbowała na próżno urodzić swoje pierwsze dziecko?

Boże, jeśli słyszysz modlitwy przyzwoitej kobiety, dlaczego pozwalasz jej cierpieć?

Rose nie oczekiwała odpowiedzi i nie otrzymała jej. Słyszała tylko daremne pomrukiwania księdza zza zasłony otaczającej łóżko Bernadette.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, przez położenie na ciebie rąk i za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Panny, Matki Boga, wyzwalam cię z mocy Szatana.

— Rose? — szepnęła Aurnia.

— Tak, kochanie?

— Bardzo się boję, że moja pora też już nadeszła.

— Pora na co?

— Na księdza. Spowiedź.

— A jakież drobne grzechy mogą cię trapić? Bóg zna twoją duszę, kochanie. Sądzisz, że nie widzi twojej dobroci?

— Och, Rose, nie znasz wszystkich moich win! Nie wiesz o sprawach, o których wstydzę się ci powiedzieć! Nie mogę umrzeć bez...

— Nie mów mi o śmierci. Nie możesz się poddawać. Musisz walczyć.

Aurnia odpowiedziała słabym uśmiechem i dotknęła ręki siostry.

— Moja mała Rosie. Nigdy nie czuje strachu.

Ale Rose się bała. Bała się potwornie, że siostra ją opuści. Ogarniał ją rozpaczliwy lęk, że gdy Aurnia otrzyma ostatnie namaszczenie, przestanie walczyć i się podda.

Aurnia zamknęła oczy i westchnęła.

— Zostaniesz przy mnie tej nocy?

— Oczywiście.

— A Eben? Nie przyszedł?

Ręka Rose zastygła w napięciu na dłoni Aurni.

— Naprawdę chcesz go tu widzieć?

— Jesteśmy ze sobą związani. Na dobre i złe.

Głównie na złe, chciała powiedzieć Rose, ale się powstrzymała. Eben i Aurnia byli małżeństwem, ale lepiej, żeby trzymał się od niej z daleka, bo Rose z trudem znosiła jego obecność. Przez ostatnie cztery miesiące mieszkała z Aurnią i Ebenem w pensjonacie przy Broad Street i jej łóżko było wciśnięte we wnękę przylegającą do ich sypialni. Stariała się nie wchodzić Ebenowi w drogę, ale gdy Aurnia przytyła z powodu ciąży i zaczęła szybko się męczyć, Rose brała na siebie coraz więcej jej obowiązków w zakładzie krawieckim Ebena. Dostrzegała w zawalonej belami materiału pracowni ukradkowe spojrzenia szwagra, zauważała, jak często znajduje pretekst, by ocierać się o jej ramię i stawać zbyt blisko, kontrolując jej pracę, gdy szyła spodnie i kamizelki. Nie wspominała o tym siostrze, bo wiedziała, że Eben z pewnością wszystkiemu by zaprzeczył. I w rezultacie to Aurnia by cierpiała.

Wykręciła nad miską moką szmatkę i przykładając ją Aurni do czoła, pomyślała: Gdzie podziała się moja piękna siostra? W ciągu niecałego roku małżeństwa jej oczy straciły blask, a ogniste włosy przestały lśnić. Pozostała tylko smętna powłoka, zmatowiałe od potu włosy i twarz przypominająca beznamiętną maskę.

Aurnia z trudem wydobyła rękę spod kołdry.

— Chcę, żebyś to wzięła — wyszeptała. — Teraz, zanim zrobi to Eben.

— Co mam wziąć, kochanie?

— To. — Aurnia dotknęła medalionu w kształcie serca,

który wisiał na jej szyi. Lśnił prawdziwym złotem i Aurnia nosiła go w dzień i w nocy. Rose przypuszczała, że to prezent od Ebena. Kiedyś wystarczająco dbał o żonę, by dać jej taką kosztowną błyskotkę. Dlaczego nie pojawia się teraz, kiedy najbardziej go potrzebuje?

— Proszę, pomóż mi to zdjąć.

— Nie pora, żebyś się z tym rozstawała — zaprotestowała Rose.

Ale Aurnia zdołała już sama zdjąć naszyjnik i położyła go siostrze na dłoni.

— Jest twój. Za to, że tak się o mnie troszczysz.

— Przechowam go dla ciebie i tyle. — Rose włożyła naszyjnik do kieszeni. — Kiedy będzie po wszystkim, kochanie, kiedy weźmiesz w ramiona swoje słodkie maleństwo, założę ci go z powrotem na szyję.

Aurnia uśmiechnęła się.

— Gdyby mogło tak być...

— Tak będzie.

Cichnący odgłos dzwoneczków obwieścił, że ksiądz skończył udzielać namaszczenia umierającej Bernadette i siostra Robinson pospieszenie przesuwiała parawan, przygotowując miejsce dla następnych osób, które właśnie przybyły.

Wszyscy umilkli wyczekująco, gdy na oddziale położniczym pojawił się doktor Chester Crouch. Tego dnia towarzyszyła mu przełożona pielęgniarek, panna Agnes Poole, i orszak czterech studentów medycyny. Doktor Crouch zaczął obchód od pierwszego łóżka, które zajmowała kobieta przyjęta tego ranka po dwóch dniach bezowocnych prób urodzenia dziecka w domu. Studenci stanęli półkolem, przyglądając się, jak doktor Crouch wsuwa rękę pod pościel, aby dyskretnie zbadać pacjentkę. Krzyknęła z bólu, gdy włożył jej dłoń głęboko między uda. Kiedy wydobył rękę, miał zakrwawione palce.

— Ręcznik — poprosił i siostra Poole natychmiast mu go

podawała. Wytarłszy rękę, powiedział do czwórki studentów: — Stan tej pacjentki się nie poprawia. Główka dziecka nie zmienia pozycji, a szyjka macicy nie rozszerzyła się wystarczająco. Jak w tym konkretnym przypadku powinien postąpić jej lekarz? Panie Kingston? Potrafi pan odpowiedzieć?

Pan Kingston, przystojny i wytworny młodzieniec, odparł bez wahania:

— Myślę, że wskazany byłby sporysz w herbacie souchong.

— Dobrze. Co jeszcze można by zrobić? — Skoncentrował wzrok na najniższym z czwórki studentów, podobnym do elfa chłopaku z adekwatnie dużymi uszami. — Panie Holmes?

— Można by zastosować środek przeczyszczający, aby pobudzić skurcze — odpowiedział natychmiast pan Holmes.

— Dobrze. A pan, panie Lackaway? — Doktor Crouch zwrócił się do jasnowłosego mężczyzny, którego przestraszona twarz natychmiast poczerwieniała. — Jak jeszcze można by postąpić?

— Ja... to znaczy...

— To pańska pacjentka. Co by pan zrobił?

— Musiałbym się nad tym zastanowić.

— Zastanowić się? Pański dziadek i ojciec byli lekarzami! Pański wuj jest dziekanem wydziału medycyny. Miał pan więcej kontaktów ze sztuką lekarską niż którykolwiek z pańskich kolegów. Ejże, panie Lackaway! Nie ma pan nic do dodania?

Młody człowiek pokręcił bezradnie głową.

— Przykro mi.

Westchnąwszy, doktor Crouch zwrócił się do czwartego studenta, wysokiego bruneta.

— Pańska kolej, panie Marshall. Co jeszcze można by zrobić w tej sytuacji? W przypadku rodzącej pacjentki, której stan się nie poprawia?

— Kazałbym jej usiąść albo wstać — odparł student.

— Jeśli może chodzić, powinna przejść się po oddziale.

— Co jeszcze?

— To jedyne dodatkowe działanie, które wydaje mi się stosowne.

— A upuszczenie pacjentce krwi w celach leczniczych?

Chłopak zamilkł, po czym stwierdził stanowczo:

— Nie mam przekonania do skuteczności tej metody.

Doktor Crouch zaśmiał się zaskoczony.

— Pan nie ma przekonania?

— Na farmie, gdzie się wychowałem, eksperymentowałem z upuszczaniem krwi i stawianiem baniek. Straciłem równie dużo cieląt bez względu na to, czy stosowałem tę metodę, czy nie.

— Na farmie? Mówi pan o upuszczaniu krwi krowom?

— I świniom.

Siostra Agnes Poole zaśmiała się drwiąco.

— Mamy tu do czynienia z ludzkimi istotami, a nie zwierzętami, panie Marshall — stwierdził doktor Crouch.

— Lecznicze upuszczanie krwi, jak wiem z własnego doświadczenia, całkiem skutecznie redukuje ból. Odpręża pacjentkę na tyle, że szyjka macicy ulega rozszerzeniu. Gdyby sporysz i środek przeczyszczający nie zadziałały, z pewnością zastosowałbym tutaj tę metodę.

Oddał zabrudzony ręcznik siostrze Poole i przeszedł do łóżka Bernadette.

— A co z nią? — spytał.

— Miała ciężką noc — odparła siostra Poole. — Gorączka spadła, ale wydzielina stała się cuchnąca.

Doktor Crouch znów włożył ręce pod pościel, by obmacać wewnętrzne narządy pacjentki. Bernadette cicho jęknęła.

— Tak, ma chłodną skórę — przyznał. — Ale w tym przypadku... — Zamilkł i podniósł wzrok. — Dostała morfinę?

— Kilka razy. Tak jak pan zalecił.